

Supełek

Zdarza się, że projekty powstałe z powagą i pragnieniem zmiany świata posiadają ogromny potencjał humorystyczny. A czasem zdarza się i odwrotnie, jak z felietonowym figlikiem limerykarza R.

Położone na tyłach Nowego Świata „Miejsce Projektów Zachęty” budzi szacunek swoją nowoczesnością. „Miejsce Projektów” to nie galeria jakich wiele, lecz powstały pod auspicjami Narodowej Galerii Sztuki *project room*, czyli przestrzeń przekazywana w ręce młodych artystów z myślą o działaniach całościowych: wykorzystaniu całej kubatury wnętrza, zaprojektowaniu jednorodnej wystawy, wykładach specjalistów. Tematy na czasie: ekologia, ochrona zasobów, „osoby nie-ludzkie”. Postawy na czasie: interwencja społeczna, zaangażowanie, przeciwdziałanie wykluczeniu. Krótko mówiąc, niemal *DEIsign*. „Co kwartał powstają nowe kierunki i nic, jak się zdaje, nie jest w stanie zahamować tryumfalnego pochodu awangardy”. A jednak, mimo tak pryncypialnych (i przewidywalnych) pohukiwań programowych, lubię zaglądać na Gałczyńskiego: pół roku temu prezentowana tam była poruszająca praca „Zanikanie” Anny Rendeckiej, ukazująca doświadczenie choroby Alzheimera z perspektywy chorego i jego bliskich, od połowy stycznia można obejrzyć „Archiwum przedmiotów wyobrażonych” Szymona Zakrzewskiego.

Za jego sprawą w „Miejscu Projektów..” znalazły się – oddajmy głos kuratorce – „projekty skierowane do trzech marginalizowanych grup: mieszkańców gdyńskich dzielnic biedy, kobiet, które w dwudziestolecu wyemigrowały ze wsi do miast w poszukiwaniu pracy oraz osób mieszkających w sąsiedztwie nowohuckiego kombinatu w okresie PRL”. Interwencyjnie więc i inkluzyjnie, w stronę designu i przeciw „dominującym narracjom” – zarazem jednak niewymuszenie błyskotliwie i śmiesznie. Szymon Zakrzewski bowiem, pracując nad „alternatywną historią polskiego wzornictwa”, tworzy fikcyjne przedmioty i pisze fikcyjne biografie ich twórców. Ani Zofia Perlik, nauczycielka przyrody w nowohuckiej podstawówce, majstrująca „klupy”, czyli zaimprovizowane cyrkle do pomiaru drzew, ani Lucjan Bohdanowicz, rzeźbiarz związany w latach 80. z niezależnym Polskim Klubem Ekologicznym, ani Mieczysław Góra, komunizujący szkutnik, spawający dla gdyńskiej biedoty „kotwice do kradzieży węgla” nie istnieli naprawdę: są zmyśleniem, uwiarygodnionym za sprawą autentycznych czarno-białych zdjęć, którym nadano nowy kontekst, garści prawdziwych i dwóm garściom „podrobionych” dokumentów z epoki.

Nie jest to wielkie dokonanie plastyczne, ale świetny koncept, wyższa szkoła apokryfu. Zamiast tworzyć postaci i światy od początku do końca fikcyjne, można implantować je w gęstej tkance rzeczywistych wydarzeń i świadectw (biedy w przedwojennej Gdyni, karczowania podkrakowskich sadów, walki ekologów z PKE z truciznami Nowej Huty): jakby ktoś wplatał dodatkowe pasemko włosów w warkocz, wklejał bibułkową przekładkę między karty nobliwej kroniki. Ze świetnym skutkiem bawili się już tak w literaturze France, Čapek i Kiš, a ostatnio w Polsce – Bartosz Sadulski, autor „Rzeszotu” i „Szesnastu na Bourbon”. Inni kręcą *mockumenty*, a inni, cóż, piszą felietony.

Felietonowi „Splot”, który ukazał się w listopadowej „Vivie”, a pod koniec stycznia (być może po rozejściu się dwutygodnika we wtórnym obiegu czasopism lekko przeterminowanych?) wywołał niemałe poruszenie wśród części czytelników, nie można odmówić finezji. Została w nim odmalowana sylwetka poety, konsekwentnie opisywanego jedynie inicjałem, jako H. Ów H., jak pisze streszczający jego życiorys autor, podczas okupacji studiował we Lwowie polonistykę (większości czytelników zapala się w tym momencie światełko skojarzenia), był karmicielem wszy w Instytucie Weigla (większości zapala się drugie światełko), był represjonowany przez Sowietów, a w latach sześćdziesiątych wyjechał z PRL (światełka pulsują niczym na neonie reklamującym radzieckie lokomotywy). A gdy pod koniec tekstu okazuje się jeszcze, że poeta ów zmarł w roku 1998, ostatni sceptycy wyzbywają się wątpliwości: poetów „na H” związanych ze Lwowem było wielu, od Mariana Hemara po Pawła Heintscha, ale Herbert był tylko jeden! Wydaje się to niemal pewne, i wiary tej nie osłabia u czytelników ani zesłanie felietonowego H. na pięć lat do łagru (czego Herbert, jak wiemy, nie doświadczył), nieobecność w jego życiu żony ani „Pana Cogito”. Nie, biorą to za przemilczenie autora felietonu, a wtrąconą w jednym zdaniu wzmiankę o Herbercie (przedstawionym jako ktoś inny od H.) uznają za dodatkową zmyłkę i wskazówkę zarazem.

Mylą się: głównym bohaterem felietonu jest emigracyjny poeta Jerzy Hordyński (1919-1998). Zbieżność jego biografii z życiorysem Herberta (studia na tajnych kompletach we Lwowie, podróże do Włoch, data śmierci) jest uderzająca, a dodajmy, że autor felietonu nie wykorzystał jeszcze jednej zdumiewającej paraleli: Hordyński debiutował tomikiem „Powrót do światła” (1951), Herbert – „Struną światła” (1956)! A jednak felieton jest naprawdę opowieścią o Hordyńskim, cierpką i lekceważącą („Napisał 15 tomów wierszy, o których mało kto pamięta, choć

otrzymał za nie wiele nagród, głównie włoskich”; „Poeta H. zarabiał głównie oprowadzając polskie wycieczki po Rzymie. (...) Wśród polskich literatów miał opinię trochę *bon vivanta*, a trochę malowniczego kloszarda”), lecz nie obraźliwą. H. został w niej ukazany jako ciułacz, *bon vivant* i kloszard, lecz – doceńmy – nie jako przestępca, zdrajca czy kompletny grafoman.

Płaszcz Zeliga został jednak uszyty na miarę: losów Jerzego Hordyńskiego nie zna niemal nikt, losy Zbigniewa Herberta zna wielu, i liczni jego wielbiciele, kojarzący Lwów, wszy, Italię i datę śmierci uznali „Splot” za paszkwil na autora „Struny światła”, ukazujący go jako mitomana (ostatecznie na Sybir nie trafił, podczas gdy felietonowy H. i prawdziwy Hordyński – owszem), pieczeniara, beztalencie i dusigrosza. Za – jak piszą w pełnych oburzenia postach – „niszczenie wizerunku Zbigniewa Herberta”.

Tak, to wytrawne wyprowadzenie w pole, finezja na miarę literata R. – wykładowcy UJ, fraszkopisarza i publicysty, sekretarza noblistki Wisławy Sz. oraz prezesa Fundacji jej imienia. Być może na wysokiej połoninie dowcipu, po jakiej stąpa, deklinując się oraz wachlując zgrabnym przyrządem zwanym sylogizmem, nie przyszło mu nawet na myśl, że jego zanonimizowana opowieść o poecie H. może być uznana za wycieczkę w stronę Herberta? Ot, usłyszał podczas jednej ze swych podróży włoskich o losach Hordyńskiego i postanowił upleść z nich felieton.

Bo też napisał go, jakby nie zdając sobie sprawy z żywego do dziś wśród wielu czytelników Herberta gorzkiego, gorącego żalu, że Pan Cogito nie otrzymał literackiej Nagrody Nobla. Żalu, który nieraz każe im rozpinać

niepotrzebną cięciwą rywalizacji „Herbert czy Sz.” po czym, sunąc palcami po tej wyslizganej cięciwie, a to po raz 13123721 wypominać literatce jej rok 1953, czyli nieszczęsną rezolucję krakowskiego ZLP i epitafium dla Stalina, a to rozważać, kto pociągał za różne struny ciemności, by „należnego” Herbertowi Nobla „zabrała” Sz. Czy to możliwe, by R. nie zdawał sobie z tych obolałości sprawy? Czy raczej postanowił zagrać im na nosie?

Ten felieton to tylko gest, oczywiście – jak cały *habitus* R. – figlarny i szlachetny zarazem. Skoro jednak napisał on „Splot” tak, by kojarzył się z poetą H., niedzisiejszym i niezbyt cenionym przez współczesne gwiazdy literatury, nie zaś o prozaiczkę T., noweliście i eseiście D. czy Z., autorze wierszy wyróżnianych nawet przez „New Yorkera” – niech mi wolno będzie pisać o nim właśnie jako o R. Niezmiennie zachwyconym sobą, niezmiennie grającym do jednej bramki, czy to w publicystyce na łamach „Gazety”, czy w książeczce traktującej o erystyce w ustach polityków („Ptak Dodo...”, 2023) rozjeżdżającej 23 posłów i senatorów PiS oraz zero rywalizującej z nimi partii. Czym jest w porównaniu z tym prztyczek w czytelników Herberta? *Small peanuts.*

Wojciech Stanisławski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
